

Specjalista od spraw beznadziejnych

19 kwietnia 2009

– Powiedz mi, co zrobisz: przychodzi do ciebie gość, który wylądował na ulicy, gdziekolwiek nie pójdzie, nikt go nie chce – Mariusz podnosi głos zaaferowany. – Do kościoła wstydzi się pójść. Wie, że wezmą go tam za alkoholika; pracy nie dostanie, bo nie ma dokumentów; na czarno w myjni nie może pracować, bo popracuje tak dwa dni, będzie miał na chleb, ale nigdzie nie pójdzie, bo jest mokry po pracy. Nie ma się gdzie umyć, przebrać, nie zna angielskiego. Nie ma „insuransu”, nie ma „homeofficu” – jest nikim.

On chce żyć, ale nie ma jak – ciągnie swój przykład. – Kiedyś taki człowiek ze mną mieszkał. Teraz nie mogę się do niego dodzwonić. W Polsce ma dwoje dzieci, alimenty do płacenia. Tutaj jakiegokolwiek by nie miał pracy, zaczynał pić, zmieniał pracę, wystawiał чеки bez pokrycia i tak się zadłużył. Jak już raz komuś powinie się noga, to potem koło się zamyka. I uwierz mi, państwo o ludzi dba itd., ale jeśli się nie spełnia pewnych norm, to już nie, wtedy jest się nikim.

Mariusz opowiada tą historię, tak jak i wiele innych, trochę zaaferowany, trochę przyzwyczajony, że jest nie pierwszą i nie ostatnią. Od kilku miesięcy pomaga charytatywnie Polakom w Reading – zajmuje się wypełnianiem dokumentów, tłumaczeniem z angielskiego na polski, załatwianiem benefitów, mieszkań, pracy, egzekwowaniem praw pracowniczych, czy walką z dyskryminacją. Pomaga każdego dnia, każdemu i za darmo. Jego znajomi wspomagają go w miarę swoich możliwości, tłumacz użycza mu swojego biura, aby mógł przyjmować interesantów, radca prawny czasem nie pobiera opłat za pomoc lub pomaga po niższych cenach, jeśli ktoś nie jest w stanie zapłacić, inni przenocują i nakarmią potrzebujących.

– Zaangażowałem się w to bardzo. Wielu mówi, że za bardzo. Przychodzą do mnie i mówią: „Mariusz, zajmij się sobą”. Ale tak naprawdę ciężko jest zająć się sobą, bo np. dwa tygodnie temu nie mogłem nie odebrać dziewczyny ze szpitala. Ciężko mieć dystans do tego wszystkiego, bo gdyby nie ja, to nie wiem, jak by ta dziewczyna skończyła.

Ze szpitala odebrał Anię. W dniu swojej przeprowadzki spadła ze schodów i złamała nogę w kilku miejscach. Wylądowała w szpitalu, w którym lekarze nie widzieli jeszcze tak skomplikowanego złamania. Po udanej operacji niekompetentna fizjoterapeutka zdjęła jej gips, zaczęły się problemy z niezrastającą się nogą, groziła jej nawet amputacja. Dziewczyna była kilka dni na morfinie. Zanim jednak w pełni wyzdrowiała, została wypisana ze szpitala i... wywieziona z niego na wózku ze złamaną nogą w gipsie. Mimo, że dzwoniła na policję, nikt jej nie uwierzył, że została siłą usunięta ze szpitala. Została sama, w piżamie, na dworze, w zimnie, ze złamaną nogą, bez mieszkania, bez swoich rzeczy, bez znajomych. Zadzwoiła do Mariusza.

Z nieco inną sprawą zgłosiła się Magda. Przeszła gehennę w pracy w magazynie należącym do Waitrose. Była dyskryminowana, wyszydzana, że była w ciąży i że nie chciało jej się pracować, mimo że wykonywała najcięższe obowiązki, a do tego zmuszana była do pracy fizycznej, będąc w zaawansowanej ciąży. Teraz, kiedy już odeszła z pracy, dostała pismo informujące ją, że nadpłacono jej kilkaset funtów i ma oddać pieniądze. Magda nie wie, co teraz zrobić, w jaki sposób naliczono tę sumę, a do tego martwi się sytuacją swojego dziecka, które ma przejść operację.

– Po tym wszystkim, co przeszłam, nie obchodzi mnie, że ktoś się pomylił i źle policzył moje pieniądze. Chciałabym nie oddawać tej nadpłaty, bo mnie na to nie stać – mówi Magda pewnym siebie głosem.

Mariusz obiecał, że zajmie się sprawą. Bardzo często kieruje

potrzebujących do konkretnych ludzi lub instytucji, które mogą pomóc. Tajemnicą Poliszynela w Reading jest jednak fakt, że niektórym instytucjom jego działalność jest bardzo nie na rękę, bo często wcale nie zajęliby się Polakami, a tak Mariusz niemal zmusza ich do pomocy.

Kiedy pomagał siedmiu osobom, które z dnia na dzień zostały bez dachu nad głową, zadzwonił do znajomego Roberta.

– Oni prace mieli, ale stracili mieszkanie i nie mieli pieniędzy na wynajęcie kolejnego. Trzeba było im pomóc, żeby uzbierali na zakwaterowanie. Mieszkali u mnie w salonie, spali jak śledzie na podłodze. Byli bardzo grzeczni. W momencie, kiedy do nas przyszli, żona zadzwoniła do pani Misi Nicpoń, prezes Polonii Polskiej w Reading. Nasz budżet domowy nie mógłby wytrzymać siedmiu dodatkowych osób i wtedy pani Misia przywiozła kilka toreb z jedzeniem – opowiada Robert, który kiedyś sam był w potrzebie i teraz chętnie pomaga innym. – Posiedzieli u nas 2-3 tygodnie. Jeden chłopak wrócił do kraju, wszyscy się solidarnie zrzucili na jego bilet i pojechał do kraju. Potem przysłał smsa, że bardzo dziękuje – wspomina Robert i dodaje, że dla Mariusza robi, co tylko może.

– Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który by pracował i rozdawał swoje pieniądze potrzebującym – komentuje Robert. – Jedni mu oddadzą, inni nie. Ale on tego nie wymaga. Kilka razy był wykorzystany, ale się nie zniechęcił. – Mariusz to osobowość nietuzinkowa, warto mu podać rękę, żeby mógł dalej działać – dodaje. – Jeśli teraz ktoś znaczący nie poda mu ręki, to on się tym wszystkim zniechęci i pojedzie gdzieś na wolontariat do Afryki.

WIELE RAN, CORAZ WIĘCEJ PEREŁ

Mariusz zaczął działać dla innych, bo jak sam mówi: „chce zamienić swoje rany na perły”. Życie mocno go doświadczyło, miał ciężkie dzieciństwo i okres dorastania, milion niespełnionych marzeń, na emigracji w Holandii i Anglii

przeszedł wiele. Czarę goryczy dopełniła nieszczęśliwa miłość. Zamiast jednak iść w narkotyki czy alkohol, postanowił pomagać innym.

– Ja jestem od spraw beznadziejnych. Niby ostatnią pomocą powinien być kościół, ale ci ludzie w kościele czasem nie mogą znaleźć pomocy, w urzędach też nie, bo oni mają swoje regulacje i przepisy. I ci ludzie ze swoim cierpieniem, tak jak i ja kiedyś – są sami. Podchodzę do tego bardzo personalnie. Gdybym patrzył ze strony finansowej, ile mógłbym w tym czasie „overtimów” zrobić, jak mogłem wysoko pójść w karierze zawodowej, ile razy zawód zmienić, to pewnie bym się załamał. Bo moja praca społeczna zabiera mój wolny czas.

Mariusz, jak sam twierdzi, ma cztery życia: pierwsze to jego praca w nocy w zakładzie dla umysłowo chorych, drugie: to praca w lokalnym pubie-restauracji, gdzie prowadzi popularne autorskie imprezy karaoke, trzecie: to kurs biznesu, który niemal kończy, a czwarte: to właśnie praca społeczna.

– Nie wiem, czy ktoś chciałby żyć tak jak ja, bo prowadzę cztery życia, ale w każdym z tych scenariuszy jestem sam. Wszędzie mam cztery ściany, ludzie przychodzą i odchodzą, prowadzę „życie zakonnika”, jest to szkoła charakteru i samodoskonalenie się. I uważam, że ta egzystencja, którą mam, jest najlepsza z możliwych.

Każdy kto zna Mariusza, jest pod wrażeniem jego siły wewnętrznej i motywacji do pomocy innym, jedni są nim zachwyceni, inni traktują jak wariata i głupca, bo pomaga za darmo. On nie uważa jednak, że popełnił błąd, pomagając innym, bo wie, że robi to szczerze.

– Możesz robić cokolwiek, ale jeśli serca w tym nie ma, to życie jest zwierzęce. Nie chcę łańcuchów zakładać, mieć wielkiego karku, żeby powiedzieć, że jestem kimś. OK, żyjemy w brutalnej rzeczywistości, kariera jest bardzo ważna. Ale musisz też być człowiekiem. Nie raz zapłaczę, jest mi ciężko, upiję się, mam doły, ale modlę się i zawsze się odbiję.

Uważam, że jeśli wychodzi z ciebie dobro, to wróci do ciebie z podwojoną siłą. Wystarczy, że masz czas dla innych.

Autor: Michalina Buenk

Źródło: eLondyn.co.uk